

Jiří Švihálek

Z języka czeskiego przełożyła Anna Wanik

DZIEŃ 1

26.7.2019

Jest piątek, zostało mi kilka niedokończonych rzeczy w pracy, ale nic pilnego, dokończę je w poniedziałek. Wyłączam komputer, grzecznie się żegnam, życzę miłego weekendu i raz-dwa ruszam, żebyśmy jak najszybciej wyjechali do Prosetína, do rodziny na grilla. Jest upał, więc już się cieszę na wiatr podczas jazdy. Upychamy prezenty i arbuzy w bagażniku motoru, rozkładam ciężar równomiernie na obie strony. Leje się ze mnie (tak, ten blog będzie pełen wulgaryzmów, seksistowskich aluzji i grubych dwuznaczości).

Ruszamy, wreszcie! Wiatr mnie chłodzi przez kurtkę, pojedziemy obwodnicą chrudimską, tak będzie szybciej.

Jedziemy w kolumnie już od samego zjazdu, przed nami niezłe BMW, na razie nie wyprzedzam, bo wygląda na to, że też jest blokowane przez kogoś... exit Chrudim północ, zawalidroga wreszcie zjeżdża, depczemy!

Nagle wielka ściana przesuwana się z przeciwnego pasa wprost na nas i bawara zaczyna ją wymijać z lewej. Słyszę pierwsze zderzenie blach i instynktownie też skręcam w lewo, żeby uniknąć niebezpieczeństwa. Zanim moje oczy i mózg cokolwiek mogą ocenić, coś wjeżdża w nas z prawej strony. Robi się czarno i cicho.

Otwieram oczy i widzę przed sobą ścianę z aut, moja żona czołem do ziemi, nie rusza się i nie reaguje... Jest niemal wprasowana w zderzak małego samochodu, do mnie raczej plecami, nie widzę żadnych ran.

Ja pierdołę, zabiłem swoją żonę, ja pierdołę. Ma odkryte biodra. Poruszają się!

Żyje!

Kurwa, tak!

Patrzę na swoje nogi... lewa jest w porządku, bez buta, prawa w wielu miejscach popękana... paliczek się huśta na kawałku skóry, ledwo się trzyma, kostka jest prawie oderwana, mięsko ma dziwny kolor, a udo dwa razy większe niż normalnie.

Nic mnie nie boli... ciekawe... tylko asfalt nieprzyjemnie pali i czuję, jak uwierają mnie kamyki z autostrady.

Słyszę głosy i wołam o pomoc. Czuję się strasznie niepozorny między wrakami tych aut. Słyszę jakąś kobietę, jak krzyczy w panice – czyżby nas widziała? Nagle pojawia się anioł w postaci lekarza, który chyba jechał tą bawarą. Uspokaja nas, mówi do nas... Skądś się na nas leje gorący olej. Ostrożnie odciągają nas za kurtki dalej... Moja noga się jakoś dziwnie płacze, próbuję ją podnieść, ale rusza się tylko górna połowa uda. Na Katce nadal nie widzę żadnego zranienia. Wszyscy się ewidentnie boją uszkodzenia kręgosłupa, od pasa w górę jestem zupełnie OK, ale na dole może być jakiś uraz, więc im wierzę i wolę się nie ruszać. Dzwonią po karetkę i helikopter, ktoś (kto?) wylicza do telefonu nasze urazy. Stan Katki opisuje jako znacznie gorszy. Kiedy patrzę na swoją nogę, nawet nie chcę sobie wyobrażać, jak Katka wygląda od przodu. Ocknęła się, zaczyna stękać. Uspokaja ją. Rozmawiają. Rozcinają na niej spodnie. Chyba ma dwa otwarte złamania. Wydaje mi się, że nie krwawię za bardzo, jak na tyle mięska i kosteczek, i szram... niech żyje krzepliwość krwi!

Już są strażacy. Lekarz z bawary ich koordynuje... niezły koleś... rozcinają nasze kurtki, asfalt okropnie pali... Zajmują się głównie Katką, jeden strażak wstał z przysiadu i zrobił mały krok w moją stronę. Kopnął mnie w kostkę, na której rozhuśtał mi się palec na skórze... więc mówię: „Uwaga, kurwa!”. Ale raczej z odruchu, niż żebym naprawdę coś czuł. Przeprasza, mówi, że nie chciał. Pracują wspaniale... słyszę karetki... helikopter będzie podobno dopiero za 30 minut. Miał być dla Katki, ale oboje jedziemy karetką... Z Chrudima do Hradca! Wkładanie na nosze to masakra, wszędzie coś uwiera i drapie, nie mam skóry na kostce, a ocieram się nią przez całą drogę o skraj noszy... to jedyne, co czuję.

Jesteśmy w szpitalu, zespoły już na nas czekają, ktoś (facet) żeluje mi krocze i mówi, że coś mi robią. Mam wrażenie, że chce mi się sikać... Aha, cewnik... ciekawe doświadczenie.

Leżę nagi na stole, nade mną grupa specjalistów, patrzą na nogę przy kości... i słyszę tylko: „To już do niczego”... Zасыpiam.

Przede mną kilka godzin halucynacji pod narkozą.

DZIEŃ 13

07.08.2019

Rano klasyczne pytanie na rodzinnym czacie: jak spałeś? Dzięki Sanwalowi spałem 3 godziny, a potem z przerwami nawet do 5... Nie bolało jakoś strasznie... tylko w dotyku i

czuć przy ruszaniu... ale jestem bez opiatów... na samych tabletkach przeciwbólowych... yes!

Siedem godzin później przychodzi lekarz. Oświadcza mi, że dziś pójdę na salę... że zrobi obchód pozostałych pacjentów, a potem jeszcze do mnie przyjdzie i mi wytłumaczy. Tyle słów na jeden poranek... czyżby jakaś komplikacja? Dzielę się swoimi myślami z rodziną i wszyscy odpisują, że trzymają kciuki... czekam więc, co będzie...

Po półgodzinie znowu jest u mnie doktor i od razu przechodzi do rzeczy. Tkanki miękkie w łydce obumierają (pewnie zatkał się cewnik i przestało działać ukrwienie kończyny), większość mięsa jest już martwa, w ciągu dwóch dni może się wdać infekcja, przez którą będę musiał walczyć nie o kolano, lecz o życie. Proponuje reamputację nad kolanem włącznie z kompletnym usunięciem rusztowania, które mam na nodze, żeby mógł mi zagwarantować jakościowe życie z protezą i bez bólu. Bez mrugnięcia okiem się zgadzam z największą pokorą i szacunkiem. Mówi, że nie podjął tej decyzji sam, ale jest ona wynikiem debaty rady na podstawie wczorajszego zabandażowania (kiedy po raz pierwszy to zobaczył na żywo, „na własne oczy”). Wierzę mu i podpisuję zgodę na operację... doktor odchodzi... Wydieram się do sufitu: KUUUUUUUURWAAAAAAA!!!!!! A oczy zalewają mi się łzami... Kilka razy uderzam rękami w materac i rzucam jeszcze kilka przekleństw... jestem totalnie sam... chłopaki w pokoju nawet nie pisnęli...

Właśnie się rozplynęła moja największa motywacja – mieć zdrowe kolano i tylko ten zbędny koniec nogi mieć sztuczny... wizja biegania w terenie... bieg z przeszkodami... motor... hiperaktywne życie... snowboard... już tego wszystkiego nie będzie? Oznajmiam to rodzinie... nie jestem w stanie pisać, więc nagrywam wiadomość... za dwie godziny będę bez kolana... piszę im, że muszę się wyryczeć i będzie dobrze...

O tym, że mogę stracić kolano, lekarze oczywiście mnie informowali od samego początku... że musi tam zostać sporo dobrej jakości mięsa do otoczenia kości i stworzenia walca pod protezę... ale tak jakoś chce się wierzyć w to najlepsze, nie? Więc to najlepsze się nie wydarzyło i teraz się mierzę ze skutkami mrocznej opcji...

Dzwoni Katka (która w przeciwieństwie do mnie nie wiedziała, że mogę stracić kolano). Strasznie beczy, tak bardzo jest jej przykro... trochę ją uspokajam... uświadamia sobie, że w ten sposób w ogóle mi nie pomaga :D Powoli kończymy rozmowę, wolimy ją kontynuować w esemesach... :D

Zaczynam się powoli uspokajać... mam wokół siebie ludzi, których kocham, a oni może też kochają mnie.

Tymczasem Katce zmieniają bandaże. Ja gugluję protezy uda... W sumie mogłoby być... Kurde, dzisiaj już robią kolana, które mają Bluetooth! Ktoś mi zhakuje kolano, a ja sobie rozbiję głowę albo zacznę tańczyć kozaka? Dużo można z tym robić... ale czy dam radę w biegu z przeszkodami? Po kolei, wariacie... najpierw chodzenie, potem latanie... chodzenie teraz będzie spoko... ta operacja powinna być moją ostatnią... żadnego żelastwa... z wierzchu ani w środku... żadnego złamania... będę „zdrowym” chłopczyną... już nie wyję... dam radę! Tylko będę miał w życiu trochę trudniej... ale cóż... na lekko każdy da radę. Challenge accepted!

11:30

Przygotowują mnie na salę... sąsiedzi już wcinają kotlety na talerzach...

FUN FACT: Jedzenie noszą w takich metalowych „naczyniach”, które wyglądają jak talerze UFO... serio... wielka, ciężka metalowa pokrywa na wierzchu i druga od spodu, a w środku jest talerz... pewnie dlatego, żeby nie wystygło za szybko... ta wierzchnia pokrywa jest naprawdę ciężka i nigdy nie macie miejsca na stole, żeby ją odłożyć, bo na dodatek jest duża i gorąca od jedzenia pod nią, więc kapie z niej woda... więc trzeba drugą ręką podnieść spodnią ciężką pokrywkę, razem z talerzem z jedzeniem, i tę z wierzchu włożyć pod to wszystko... to jakaś masakra... całe szczęście, że wszyscy tu mają zdrowe i silne kończyny, nie? :D

Rodzina mnie zapewnia, że po operacji mnie odwiedzą w komplecie... dziękuję im i informuję, że ja nie będę w formie XD, ale będą narkotyki... dzięki nim spotkania z rodziną są bardziej znośne :D (mówię mamie, że to był żart) Przesyła buziaki... pewnie już mnie przejrzała.

11:57

Jadę... pielęgniarka w izbie przyjęć znowu się dziwi, że się uśmiecham... a dokładniej mówiąc, sama ma uśmiech od ucha do ucha, jak mnie widzi... mówię jej, dlaczego miałbym się nie cieszyć... przecież jedziemy ratować mi życie... moje życie! TO przecież super! Przy nakładaniu maski tlenowej głaszczę ręką kolano i mówię: pa, przyjacielu... I usypiam.

17:35

Jestem z powrotem w pokoju, naszprycowany masą proszków przeciwbólowych i strasznie mnie wszystko boli. Nie wiem, jak to się odbywało... Szczypie, pali, mam z tego bólu gorączkę...

Przychodzi rodzina, nie płaczemy, ale oni też czują, że mnie boli, więc raczej milczymy i tylko czasem ktoś coś rzuci... dzisiaj nie jestem idealnym towarzyszem ani wesółkiem... denerwuje mnie to, bo jest dla mnie jasne, że oni teraz będą się w domu jeszcze bardziej martwić, niż gdybym grał, że to nie boli... ale nie dało się.

Jestem pod działaniem opiatów, a i tak boli... nawet nie wiem kiedy, ale zasypiam z wyczerpania... o północy się budzę... ale to dopiero kolejnego dnia...

DZIEŃ 71

05.10.2019

O! jee! Tak się cieszę, że jestem w innym pokoju! To zupełnie coś innego. Do moich żył wróciła radość z rehabilitacji. Gdyby nie ta ogromna stopa. Mam się nie śpieszyć z chodzeniem bez kul, żeby nie popsuł „stereotypu” chodzenia. Na wszystko przyjdzie czas, a noga jeszcze się musi wzmocnić, żeby właściwie powoziła podczas chodzenia bez kul.

Rano dzwoniemy do protetyka. Jego zdaniem rozmiar stopy nie odgrywa aż tak dużej roli. I tak będą ją chcieli wymienić, bo nie wejdzie normalnie do buta rozmiar 46, i faktycznie nie mam ochoty szukać w sklepach buta w rozmiarze 47.

U Katki też są omawiane teraz nogi. Fizjo je mierzy, ale nie chodzi o stopy, a o nogi od biodra do ziemi. Sprawdza, czy są mniej więcej takiej samej długości, bo prawa wygląda na krótszą. Znacznie. Przed operacją nie dało się ocenić, jak będzie z tą długością, różnica między lewą i prawą mogła wynieść nawet pięć centymetrów. Ostatecznie jest to maksymalnie pół centymetra. Ta operacja to musiała być robota zegarmistrza!

Idę na basen i tym razem biorę ze sobą kamerę. (...)

DZIEŃ 22

16.08.2019

Wstaję... Dziś idę do domu... W głowie już to przepracowałem, chcę być w naszym mieszkaniu (akurat nie jest to parter) i czasami nie działa winda... byłoby niezłe, co? :D W mieszkaniu nie powinno chyba być żadnego problemu... ale tym zajmiemy się dopiero na miejscu... tato kupił przyssawkowe poręcze, więc łazienka będzie wyglądać jak toaleta dla inwalidów... hm, jestem inwalidą... zakazuję sobie tego słowa. Jestem normalnym chłopakiem z kosmetycznym niedostatkiem. Zobaczą, czy ich przekonam, żeby to mi wpisali w karcie :D

W czasie obiadu dostaję papiery wypisu ze szpitala i ruszam... ale wciąż nie skończyłem robić na drutach! Ze zdenerwowania w dodatku poplątał mi się kłębek, to chyba naprawdę nie dla mnie... i teraz! Musiałem kawałek włóczki amputować o około 2 centymetry przed zranionym miejscem (supłem) i 2 centymetry pod nim. Dzięki doświadczeniom z sali operacyjnej cięcie było tak czyste, że nie trzeba było dzwonić po chirurgów plastycznych, i oba końce udało mi się połączyć prostym węzełkiem. Uff. Kontynuuję robótkę na drutach, węzełek wyszedł dokładnie w miejscu, gdzie jest oczko, więc kiepsko mi się to maskuje, potem sobie uświadamiam, że ten węzełek i trzysta kolejnych błędów, które tam są, tworzą właściwie artystyczną całość. O tym szalu pewnego dnia będą sobie opowiadać moje wnuki... a moja córka włoży go na ślub (coś niebieskiego XD)...

(EDIT: mama nie nauczyła mnie zakończenia, nie było czasu na marnowanie czasu, więc musiała mi spruć ostatni rząd i skończyła dzieło za mnie... uznacie mi to?)

GOTOWE! Mój największy projekt (drugi największy projekt to nauczyć się chodzić z nogą...) jest **GOTOWY!!!**

Idę do Katki dać jej kilka prezentów... ręcznie robione prezenty są darami serca... Albo z żartu... nie, to z miłości!

(...)

Pożegnanie z Katką nie jest łatwe... zostawiam ją na łóżku, a sam jadę do domu... uspokaja mnie, że jest pod opieką specjalistów (znowu dziękuję całemu personelowi, jesteście boscy! Dbajcie o nią dalej :-*). Kiedy już kończymy z całusami, zostawiam ją w dobrym humorze (jejku, bałem się, że będzie smutna) i obiecuję, że będę ją często odwiedzać... Od razu, jak tylko będę mógł wychodzić... ;) Po drodze w korytarzu żegnam się z personelem, który o mnie tak dobrze dbał, i żałuję, że nie ma tu wszystkich... potem jednak sobie myślę, że będę tu przyjeżdżał odwiedzać Katkę i właściwie dalej będę ich spotykał... ☺

Jedziemy do domu...

(...)